

Aniela Zychowicz
Nagranie z 31 lipca 1990
Londyn

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W 1939 roku miałam 3 lat, byłam najmłodsza w rodzinie. Mieszkałam koło Słonima nad Szczarą z mamusią, siostrami i bratem - ojciec nie pamiętam, zmarł, jak byłam bardzo młoda. Wielkie gospodarstwo, ale nie byliśmy osadnikami wojskowymi, mama przyjechała z poznańskiego i kupiła działkę z jakiejś parcelacji (...). Mało pamiętam z okresu, kiedy wkroczyli Rosjanie przed wywózką. Nie było chyba bardzo dramatycznych zajęć. Mieszkało nas na osiedlu 6 czy 7 rodzin obok była wioska prawosławnych i tam właśnie była polska szkoła, do której chodziłyśmy. Pamiętam tylko jak wjeżdżały tanki rosyjskie a potem jak Rosjanie przyszli nas zabierać - ^{10.02.40} oczywiście niespodziewanie. Mama była bardzo zdenerwowana. (Enkawudzista) był jakiś ludzki człowiek, zdawał sobie sprawę z tego, co się z nami będzie działo. Jak się zorientował, że mama jest bez męża, to prosił, żeby jednak zabrała dużo rzeczy i jedzenia. A mnie i starsze siostrę pocieszał, że nam tam będzie dobrze, że nas tam będą uczyć - takie koszałki opałki.

Od nas pojechały dwie czy trzy rodziny polskie i dopiero jak dojechaliśmy saniami do Baranowicz, gdzie była główna stacja kolejowa - zorientowałyśmy się, że nie tylko my jesteśmy w transporcie.

W wagonach bydlecych wieźli nas aż do Archangielska, jechaliśmy tam chyba parę tygodni. Pociąg stawał czasem na stacjach, pozwalali nam wyjść po kawałek chleba czy trochę wody. O ile pamiętam, każdy jeszcze miał coś swojego do jedzenia. Na środku wagonu stał piecyk żelazny i tam panie gotowały. Zbierały, co kto miał. Na postojach można było dostać "kipiatoku". Wagon był podzielony na duże nary, przycze, każda rodzina miała swoje miejsce.

Przywieziono nas do posiadku Szokasa, adresu nie pamiętam. Były tam 4 duże baraki, umieszczono po kilka rodzin w jednym pokoju. Ponieważ byłam najmłodsza, chodziłam do jakiejś szkoły. Było

tam bardzo dużo ludzi, trudno mi teraz powiedzieć, ile. Wszyscy Polacy, oprócz tego tylko Rosjanie zarządzający osiedlem. Był jakiś sklep, jakaś "restauracja", gdzie można było dostać zupę: woda z kilkoma kawałkami makaronu. Dorośli chodzili do pracy. Moje siostry i dwaj szwagrowie chodzili do lasu w zimie na wyrab drzewa. Wiedzieliśmy, że musi być rzeka, bo w lecie spławiali to drewno. Jak przybyliśmy, w osiedlu były 4 baraki, później Polacy, którzy przybyli, budowali następne, trochę się rozluźniło. Jak wyjeżdżaliśmy było 3 czy 9 baraków.

W naszym transporcie było dosyć dużo mężczyzn, bo brali całe rodziny - jak lecieło - jeśli mężczyźni nie byli w wojsku, ich też brali. Z nami było dwóch szwagrów, było nas pięć sióstr i dwie były mężatkami.

Jedzenia było mało. Mama zostawała ze mną w domu, chodziłam do szkoły, gdzie nas trochę uczono po rosyjsku. Mama gotowała co i z czego było, zdaje się, że coś płacili i coś można było kupić. Trudno mi powiedzieć, ile zarabiali, coś tam dostawali. Siostry w zimie przychodziły strasznie zmarznięte z lasu. Ale nam się udało, bo wszyscy przeżyliśmy - ciężko było. (płacz)

Jak przyszła amnestia to szwagrowie poszli do wojska, a myśmy zostali w posiołku. Rozeszła się wieść, że rodziny wojskowe mogą wyjechać. My, dzieci, podczas wakacji, żeby dostać chleb, pracowałyśmy. Dostawali tylko ci, co pracowali. Zatrudniali starsze osoby w posiołku przy cięciu drzewa na małe klocki, potem trzeba je było rąbać na tzw "szurki". Tymi kawałeczkami palili w traktorach. Podczas wakacji chodziłam do tej pracy z mamą. Przy zsypie tych klocków stał Rosjanin i liczył ile skrzynek przyniosło się w ciągu dnia. Coś tam za to płacili, ale najważniejsza była karteczka na chleb. Ciężko było.

Jak szwagrowie poszli do wojska, zdecydowaliśmy, że pojedziemy za nimi, żeby nie zostać w Rosji. I znów strasznie długo jechaliśmy

pociągami. Na dwie stacje przed miejscem, o którym wiedzieliśmy, że jest tam polskie wojsko i chcieliśmy się tam dostać - wyrzucili nas z wagonów i dostaliśmy się na uzbecką wieś, gdzie siostry pracowały przy uprawie bawełny. Niwelowało się też grunt, taczakami woziło piach. Do taczek potrzebne były cztery osoby, więc siostry brały zamiennie - niby do noszenia tego. Cięższą stronę brały na siebie. Ale dzięki temu, że tam byłam, dostawałyśmy cztery chochle zupy zamiast trzech. Przynosiłyśmy tę zupę do domu, gdzie była mama i dzieliłyśmy się z nią. Mieszkaliśmy w jakimś pokoju z przewozami, spałyśmy jak śledzie w beczce jedna koło drugiej, bo była mama, trzy siostry i ja. Jedną z sióstr zdążyła wcześniej pojechać do męża, udało jej się. Miała malušką córeczkę i szybciej niż my wyjechała z Rosji.

Pamiętam z tego kołchozu jeszcze większy głód. Była tam taka zasada, że za pracę dostawało się na obiad miszkę jakiejś potrawy. Z daje się, że coś płacili, kupowało się czasem lepiaszki. Jedliśmy też zupę z pokrzywy. Ale nie pamiętam, jak długo tam byłyśmy i ile tam było polskich rodzin, bo ze stacji jakoś nas porozrzucali po kołchozach.

Trzeba było odnaleźć szwagra, męża najstarszej siostry. W pobliskim kołchozie był jakiś żołnierz, siostra się z nim skontaktowała, podała adres swojego męża i wiadomość gdzie jesteśmy. Przyjechał i zabrał swoją żonę ze sobą, ale nas nie mógł zabrać, bo miał pozwolenie tylko na Ewę. Więc zostażyśmy tam my trzy z mamą, a siostra pojechała. Oficjalnie nie można było wyjechać z tego kołchozu, kierownik by nie puścił. Więc postanowiżyśmy uciec w nocy.

Pamiętam gehennę tej nocy: mama była po tyfusie i uczyła się od nowa chodzić. Ładnych leków nie było, leżała sama w domu. Poobierażyśmy te kilka gratów jeszcze z Polski: jakaś poduszka, malutki kufereczek - całą majątność. Jak już cały kołchoz spał posażyśmy do najbliższej stacji kolejowej. Oczywiście w Rosji nie można było

kupić biletów kiedy się chciało, więc była kwestia, jak się dostać do pociągu i to w odpowiednim kierunku. Tzn. do miejsca, gdzie był szwagier. Siedzieliśmy w nocy na stacji czekając jakiejś okazji, żeby się dostać do pociągu. Przyjechał jakiś towarowy z platformy i jedna z moich sióstr, bardzo przedsiębiorcza, powiedziała: "Pojedźmy tym!". Wlazliśmy w kątek na tę platformę i jedziemy. Pociąg nie stawał na każdej stacji, może dlatego, że był towarowy, więc przejechałyśmy spory kawał. Pociąg stanął na jakiejś węzłowej stacji, stamtąd było 23 km do Działak-Abadu, gdzie chciałyśmy się dostać. Pech chciał, że na tej stacji jakiś pracownik kolei z latarką natknął się na naszą kryjówkę: "A co to za pasażerowie?" - mama chciała mu dać jakieś świececdełka (pamiętam jakąś srebrną broszkę) żeby pozwolił nam dojechać do Działak-Abadu, ale nie chciał. Bał się, że straci pracę.

Pociąg odjechał, zostaliśmy same na tej stacji w nocy (płacz). Mama nie mogła iść, miałyśmy te tobołki. Miałam wtedy 10 lat. Ponieważ nie znałyśmy w ogóle drogi, siostra (ta, która nas "organizowała") powiedziała: "Wiecie, najlepiej będzie, jak pójdziemy wzdłuż torów, bo wtedy na pewno dojdziemy, a inaczej - nie wiadomo". No i rzeczywiście. Szłyśmy całą noc te 24 kilometry, po drodze stawałyśmy, żeby się zdrzemnąć i odpocząć. Już było rano, kiedy doszłyśmy do stacji Działak-Abad.

Była kwestia, jak wejść do miasta, bo puszczali tylko przez główną bramę. Ale siostra zauważyła gdzieś dziurę w płocie i przepchała nas wszystkie. Przeszłyśmy na drugą stronę. Na miejscu już byli polscy żołnierze. Spytałyśmy, gdzie jechać, a oni zorganizowali nam transport, bo obóz wojskowy był ze 20 km od Działak-Abadu. Okazało się, że tam już jest dużo żon i dzieci, już nam tam było lepiej. Mieszkałyśmy w domu wynajętym od Rosjanki, nie wiem, kto za to płacił. Tam już się nie pracowało, szwagier przychodził wieczorami, już dostawał żołd, więc i nam dawał kilka groszy.

Rosło tam dużo czosnku, to zbieraliśmy, tu też jedliśmy żółwie.

A ponieważ było dużo matek i dzieci, zorganizowano szkoły (...). Dostawaliśmy jedzenie z wojska, oddawali nam swoje porcje. (płacz)
Byliśmy tam kilka miesięcy, ale tam już było dobrze.

W tym wyjazd do Persji przez Krasnowodsk do Pahlevi. Był to sierpień 1942 roku. Szwagier poszedł z wojskiem, dla nas był zorganizowany statek. Po przybyciu trzeba było przejść kwarantannę. W namiot - dawali zastrzyk, obcinali włosy, żeby wszy zostały po tamtej stronie, prysznic - wychodziło się i dostawało czyste ubranie.

Wojsko było już z II Korpusem, a rodziny z Pahlevi wyjechały do Teheranu. Koło Teheranu były dwa duże obozy, tam już wszystko było zorganizowane, dostawaliśmy jedzenie. I stamtąd statkiem wyjechaliśmy do Karaczi do Indii, gdzie był obóz przejściowy dla kobiet i dzieci.